



Mirosław Derecki (M.D.) EKTRAN I WIDZ: W CO SIĘ GRA?

Gra się w oczko oraz w pokera w najnowszym filmie Sylwestra Chęcińskiego „Wielki Szu”. Licytuje się wysoko, choć najczęściej bez pokrycia. W końcowym wyniku przegrany jest widz, który postawił na bilet do kina.

Od pewnego czasu polskie kino stara się jakoś wpasować do sytuacji w kraju, do reformy gospodarczej, do samowystarczalności. Sytuacja, jeżeli chodzi o filmową podaż, jest fatalna. Po prostu to, co jest w tej chwili możliwe do zaoferowania, kłóci się w zasadniczy sposób z nowymi cenami biletów. A na filmy dewizowe - przy których obecne ceny biletów miałyby uzasadnienie - nie ma forsy.

Znalazła się więc grupa polskich reżyserów, którzy ową lukę, to zapotrzebowanie widowni na filmy z gatunku tzw. „komercyjnych” starają się wypełnić własnymi produkcjami. Ma to więc być, wpisany w polski współczesny pejzaż, rodzaj kina „przygodowego”, w którym niecodzienna, wartko tocząca się akcja okraszona w miarę seksem, a w miarę mordobiciem lub karygodnym (!) zabójstwem prowadzi do zwieńczonego dydaktyczną konkluzją finału. Karty, piękne panie, wytworne (na rodzimą miarę) hotele oraz „ci wspaniali mężczyźni - szulerzy ze swymi fantastycznie znaczonego królami, asami i damami” - oto co nam proponuje Sylwester Chęciński.

Chęciński dał się poznać przede wszystkim jako nie pozbawiony talentu i dowcipu twórca komediowej trylogii obyczajowej o losach dwóch skłóconych zabużańskich rodzin osiadłych po wojnie na Ziemiach Odzyskanych - „Sami swoi”, „Nie ma mocnych” oraz „Kochaj albo rzuć”. Chociaż ten ostatni film, osadzony głównie w pejzażu polskiego Chicago, był - mimo niezawodnego duetu: Kowalski - Hańcza - dużo słabszy od dwóch pierwszych. A już zupełnie źle poczuł się reżyser w „psychologicznym” współczesnym melodramacie „ze sfer inteligenckich”, zatytułowanym - „Roman i Magda”.

„Wielki Szu” to z kolei rzecz o losach wielkiego szulera karcianego, doświadczonego przez los filozofa-samotnika, który - jak wywodzi ulubiony przeze mnie autor „Filmowego Serwisu Prasowego” p. Jacek Tabęcki - „jest heroicznym outsiderem, który w młodości dokonał świadomego wyboru. Decydując się na trudną i niezgodną z prawem drogę, sensu istnienia postanowił szukać w doskonaleniu swych umiejętności. Jego samotność można

porównać do samotności sportowca, latami utrzymującego się w wysokiej formie i kontrolującego poczynania rywali. (...) Kreacja Nowickiego pozwala zrozumieć na czym polega różnica między profesjonalizmem a mistrzostwem: powstaje ono w efekcie przerażającej samowiedzy, która prowadzi do pełnego utożsamienia się z sobą przy jednoczesnej negacji wszelkich wartości z własnym bytem włącznie”.

Uwielbiam ten wzniosłe-intelektualny styl. Dzięki niemu wierzę, prawie bez zastrzeżeń, że nawet wówczas, kiedy na ekranie oglądam nagie wdzięki pani Grażyny Szapołowskiej lub pani Doroty Pomykały w zwarciu z niewątpliwą kreacją aktorską pana Jana Nowickiego, uczestniczę w jakimś tam psychologiczno-filozoficznym misterium.

Choć po chwili dochodzę do wniosku, że wolałbym jednak w tym filmie mniej wątpliwie wyeksponowanej „nadbudowy” (ten nieszczęsny tom Kanta, ogrywany na karcianym stoliku przez reżysera i zgwałconych przez niego aktorów!), a więcej znajomości „komercyjnego” warsztatu. Cóż bowiem z tego, że sam pomysł „Wielkiego Szu” (owo skonstrastowanie arcymistrza i jego przygodnego ucznia: zbyt głupiego, małomiasteczkowego i zbyt pewnego siebie, aby nie przerznął, wszystkiego w pierwszym większym podejściu), cóż z tego, że ten pomysł jest dobry i dość oryginalny. Niestety, w realizacji założenie rozłązi się w dziesiątkach niemiłosiernie rozciągniętych scen i scenek, mnożą się niepotrzebnie poboczne wątki, reżyser nie skąpi sobie w szafowaniu akcją. A wtedy, gdy dramaturgia wymagałaby największej koncentracji, napięcia i drapieżności - to znaczy w scenach gry w pokera - wątek zaczyna się niebezpiecznie dłużyć... Jest poza tym ten film zdecydowanie źle grany. Poza Janem Nowickim, który ratuje swym aktorstwem „Wielkiego Szu” oraz obsadzonym w epizodycznej roli kozaczka-cinkciarza-pokerzysty zawodowca Karolem Strasburgerem. Doskonały chwilami partner Nowickiego (taksówkarz Jurek marzący o sławie wielkiego pokerzysty), Andrzej Pieczyński, często zbyt mocno szarżuje i to odbija się na autentyczności kreowanej przez niego postaci. Są role w których nie wolno posunąć się nawet o włos za daleko, bo wtedy cały trud aktora idzie na marne. O reszcie postaci - nie ma co mówić. Nawet tak zdolny aktor jak Jerzy Bończak nie uniknął jakichś żałośnie histerycznych „zagrywek” w scenie nad basenem.

Niestety, biorąc się za filmy „komercyjne” (lub zbliżane do tego gatunku) musimy pamiętać, że istota sukcesów tego rodzaju zachodniego kina polega na ogromnym doświadczeniu i wysokim stopniu wyspecjalizowania, zarówno ze strony reżyserów, jak i aktorów. Oraz zdawać sobie sprawę, że nasza publiczność jest dość dobrze obeznana z tamtymi filmami i dlatego wymagania ma wysokie. U nas zaś - jak zresztą w każdej niewielkiej kinematografii - jest tak, że ktoś raz robi komedię, innym razem film wojenny, a kiedy indziej jeszcze bierze się za psychologię. Tak jest i w przypadku Sylwestra Chęcińskiego. Więc zrobił to, na co go było stać i nawet nie można mieć do niego

specjalnych pretensji (choć film ten na pewno inaczej zaprezentowałby się na małym, bardziej „kameralnym” ekranie telewizyjnym). Ale marzyłoby mi się, żeby jednak powstała u nas wąsko wyspecjalizowana grupa ludzi „od komercji”. Byłoby to z pożytkiem i dla filmowców i dla publiczności.

Co się zaś najbardziej Chęcińskiemu udało w „Wielkim Szu”, to zwrócenie uwagi na ów nieprawdopodobny tupet, jaki charakteryzuje durnego taksówkarza Jurka przekonanego, że ON raz - dwa może zostać MISTRZEM bez tych wszystkich głupich sztuczek oraz całych lat treningu i znajomości ludzkiej psychiki, czym mu „zawracają głowę” mądrzejsi, bardziej doświadczeni od niego.

Taksówkarz Jurek to jakby ucieleśnienie mądrego stwierdzenia Leca, iż w Polsce mamy jedno ogromne nie wykorzystane wciąż źródło energii: jest nim tupet ćwierćinteligentów.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 13, s. 14.